

szkoła
UCZUĆ



s a m o o c e n a

CZASEM CZUJĘ, ŻE MOGŁBYM ZMIENIĆ ŚWIAT

Rozmawia Dariusz Bugalski

KĄDEGO DNIA STARAM SIĘ PODNOSIĆ POZIOM MOJEGO ŻYCIA. NA BARDZO RÓŻNYCH PLANACH: ŚWIADOMOŚCI, POD WZGLĘDEM EMOCJONALNYM, DUCHOWYM, KOMFORTU PRACY I... STAJĘ SIĘ DLA SIEBIE CORAZ BARDZIEJ WYROZUMIAŁY – WYZNAJE LESZEK MOŹDŻER

Kiedy po koncertach ma Pan standing ovation, pewnie bardzo rośnie ego?

Staram się nie brać tego do siebie, bo czuję, że to koks dla duszy. Wiele razy tego doświadczyłem. Trzymało mnie po koncercie przez parę godzin, a potem był odpływ i osamotnienie tak bolesne, że trudno to sobie wyobrazić. Uderzają w człowieka wszystkie problemy, smutki, wszystkie niezłatwione sprawy i wtedy jest alkohol, dragi, dziwki i rock and roll.

Czyli, muzyka może dawać, ale i zabierać poczucie własnej wartości?

Dlatego staram się je czerpać nie z muzyki, tylko z zupełnie czegoś innego, z tego, że po prostu żyję. Odkryłem to niedawno, w wieku 36 lat. Niezręcznie mi o tym mówić, bo to bardzo intymne odkrycie.

Odkrył Pan swoje potrzeby?

Właściwie zaczynam je odkrywać. Do tej pory żyłem dla wyobrażenia o sobie, nie dla siebie. A teraz? Chcę żyć! Kieślowski powiedział: „Chcę się w końcu wykąpać po to, żeby się wykąpać, a nie po to, żeby robić filmy”. Doszedłem wreszcie do tego samego. Kąpię się, bo się kąpię, jem, bo jem, śpię, bo śpię, a nie wypoczywam po koncercie. Niestety, nie osiągnąłem w tym jeszcze perfekcji. Na przykład teraz chciałbym tego wywiadu udzielać na sto procent, ale część mojego umysłu pisze w tym momencie muzykę. Bo żyję też po to, by tworzyć muzykę. O tym to ja wiem.

Czuję, że Pan teraz... trenuje. Samodoskonalenie? Można tak powiedzieć. Jakiś czas temu zafascynowała mnie Doda, a właściwie to, jakie ona ma wysokie

mniemanie o sobie. Można o niej oczywiście powiedzieć, że to malowana lala, ale ona ma charyzmę! Mnie tego trochę brakuje. Poczulem, że to jest coś, czego chciałbym się nauczyć.

Kiedy ma się niską samoocenę, podświadomie wchodzi się w takie sytuacje, żeby to niejako potwierdzić. Świat jest jak lustro, zwraca ci to, co od ciebie otrzymuje. Potrzebna jest systematyczna praca nad tym, żeby zmienić... dietę umysłu. Doda sama siebie chwali, sama o sobie mówi, że jest najpiękniejsza, najmądrzejsza, najbardziej wartościowa i tak ma – świat jej to zwraca. Choć mnie teraz bardziej obchodzi to, co się dzieje w środku, a nie jak jestem odbierany.

Rozumiem, że dieta umysłu pomaga wzmocnić samoocenę?

Trzeba po prostu świadomie wprowadzać do umysłu wybrane przez siebie pozytywne słowa. Robi się wtedy z tego rodzaj mantry. Kiedy porzuca się negatywne myśli i wyobrażenia, wtedy znikają związane z tym wizje zagrożeń. Nagle zaczynamy sobie



Zacząłem grać na fortepianie, gdy miałem pięć lat. Klawiatura zawsze dawała mi poczucie bezpieczeństwa



zdawać sprawę, jak one są absurdalne. Widać też, jak jedno negatywne wyobrażenie tka całą sieć myśli, przekonań, poglądów, wyrafinowanych konstrukcji myślowych. Większości tych myśli na ogół nie jesteśmy świadomi. Gdy wprowadzimy w system zmianę, te negatywne myśli się wytrącają i zmienia się cały system. To wieloetapowa praca.

Czy ktoś Panu w tej pracy pomaga?

Tak, psychoterapeutka. Nie, więcej - nauczycielka duchowa. Okazuje się, że moje problemy nie przychodzą z zewnątrz, tylko tkwią głęboko we mnie i to moje wnętrze wymaga uzdrowienia.

No to czym jest właściwie to Życie?...

Oglądałem niedawno w telewizji dyskusję o aborcji, sam nie wiem, czemu. Potem śniło mi się, że trzymam w dłoniach płód ludzki. I zdałem sobie sprawę, że moim naturalnym instynktem było to, żeby go chronić. Jakoś się to we mnie załęgło... Tak, załęgło.

Tak jakby trzymał Pan w dłoniach siebie samego?

Tak. Bo skoro ten płód jest wartością, to i ja jestem wartością i moje życie jest wartością. Nie stanowi o niej to, że gram na fortepianie, tylko to, że żyję.

Podziwiam Pana, że Pan nie zatlukł w sobie klawiszami dziecka, chociaż tłukł Pan od małego. ➤

Tak. I to naprawdę sporo. Jest taka reguła, że rok życia dzieli się przez dwa: pierwszy rok nauki – pół godziny ćwiczenia dziennie. Drugi rok nauki – godzina ćwiczenia, trzeci rok – półtorej godziny ...

Więc teraz ... piętnaście i pół?

No, nie. Ale, żeby się rozwijać, to szóstkę trzeba wytrześcić.

Odkrył Pan swoje potrzeby dopiero teraz. Jak Pan przeżył tych trzydzieści kilka lat?

Cóż, inwestowałem w swój rozwój, żeby być na tym poziomie profesjonalnym, na którym teraz jestem. Lester Bowie, wielki trębacz, opowiadał, że ojciec kazał mu ćwiczyć straszak, że go zabije. Mój mnie straszyć nie musiał. Wiedziałem, że jak solidnie nie popracuję, to się zblażnię na egzaminie przed profesorami, a to przecież bardzo nieprzyjemne.

To znaczy, że z Pana samooceną bywało nie najlepiej?

Bywało. Złe myśli powodują cierpienie. Jedni wtedy piją, inni dużo, o wiele za dużo pracują i wychodzą na scenę. Kiedyś nie czułem się pewnie wśród ludzi. Zasiadałem przed klawiaturą... i ona dodawała mi pewności. Teraz jest inaczej. Czuję się sprawnym pianistą, klawiatura nadal daje mi poczucie bezpieczeństwa, które traciłem, gdy od niej odchodziłem. Dzisiaj wiem, że trzeba pielęgnować jedno i drugie: dobre myśli o sobie i umiejętności pianistyczne. Coraz bardziej do mnie dociera, że ważniejsze jest to pierwsze, które wpływa na to drugie.

Czy być lepszym pianistą oznacza być lepszym człowiekiem?

Dla mnie być lepszym człowiekiem znaczy być lepszym pianistą, w tej kolejności.

Twierdzi Pan, że coraz większe poczucie wartości bierze się z Pańskiego wnętrza. Co będzie, jeśli kolejnej płyty ludzie nie będą słuchać, przestaną kupować?

Co to za czarne scenariusze pan mi tu wymyśla! Wierzę, że to, co robię, jest słuszne i uważam, że świat potwierdza moje przekonania.

Gratby Pan dalej? Z całą wiarą w swój talent?

Tak, bo to byłaby moja karma, którą trzeba spalić. Wie pan, jakie było jedno z moich najważniejszych przeżyć? Konsultacje w Leningradzie u profesora Małowa, który mi powiedział, że ze mnie nic nie będzie. Byłem jeszcze nastolatkiem. Ale ja czułem, wiedziałem, że on nie ma racji. To doświadczenie dało mi napęd na ładnych parę lat. Byli też inni profesorowie, na przykład Olga Sz wajgier – śpiewaczka o gigantycznej skali głosu. Byłem na jej wykładzie. Zacieka wiła mnie, bo zachowywała się jak dziwaczka, ale roztaczała wokół siebie niezwykłą aurę. Powiedziała nam, że najważniejszą funkcją mózgu jest chcenie. Wzięłem to sobie do serca i postanowiłem jeszcze bardziej chcieć. A z jazzem było tak – miałem wspaniałą panią profesor, wybitnego pedagoga. Powiedziała: „Panie Leszku, gdyby pan tak naprawdę się za siebie wziął, mógłby pan dużo znaczyć na Wybrzeżu”. Ale ja już wtedy wiedziałem: nie będę muzykiem klasycznym na Wybrzeżu!

W jednym z wywiadów powiedział Pan o przygotowaniach do nagrania płyty „Time”: „To będzie bardzo piękna płyta”. Oho!, pomyślałem sobie, ten to ma poczucie własnej wartości. Pozazdrościć!

Wygłosiłem wersję oficjalną. A wersja demo jest inna: emocje, niepokój, nie śpi się czasem trzy noce z rzędu... Jakiś czas temu nagrywałem płytę jako sideman. I też nie spałem.

Czy może Pan słuchać czyjejs świetnej muzyki bez ułknięcia zazdrości?

Tak, mogę słuchać czyjejs pięknej muzyki z otwartym sercem, oczywiście. Otwiera się wtedy nowa przestrzeń, szersza perspektywa. To bardzo przyjemne uczucie. Gdyby np. Józef Hoffman, którego podziwiam, chciał się umówić z moją dziewczyną, to byłbym zazdrosny. Ale się z nią nie umówi, z oczywistych względów: nie żyje.

Keith Jarrett nagrał „Köln Concert” w wieku 30 lat, Ornette Coleman „The Shape of Jazz to Come” w tym samym wieku. Miles Davis: „Kind of Blue” – 33 lata, John Coltrane: „Giant Steps” – tyle samo. Komeda: „Astigmatic” – 34. Pan ma teraz 36.



Jak zmienić świat? Czy muzyka może do tego doprowadzić? Może skutecznym sposobem jest posprzątanie swojego pokoju?

Tak, i wypadaloby nagrać coś takiego (śmiej). Jestem w głębi serca przekonany, że moja „Kind of Blue” jest wciąż przede mną. Ci artyści, których Pan wymienił, byli promowani przez wielkie wytwórnie. A ja sobie spokojnie czekam: Joe Henderson został zauważony po sześćdziesiątce.

Te Pańskie garnitury! Kwiatki, motylki, srebro, złoto...Dba Pan o swój wizerunek.

Bo artysta to taki gość, co ma jeden but brązowy, a drugi czarny? Wczoraj zapomniałem spakować garnitur. To największa głupota, jaką można zrobić. Bo garnitur to mój kostium.

I co Pan zrobił?

Jak to co?! Kupiłem nowy. Byłem kiedyś dzolero, to prawda. Ale wie pan... Te garnitury to ja z premedytacją... Wiedziałem, że telewizja i prasa lubią mieć ładne zdjęcia. To proszę bardzo.

W Pana grze nie bardzo słychać te kwiatki, motylki...

Muzyka to wyrażanie swojego wnętrza. Trzeba bardzo dbać nie tylko o wizerunek, ale także, a może przede

wszystkim o wnętrze. Publiczność, która wychodzi z koncertu, powinna być szczęśliwa, bo się skontaktowała z piękną muzyką i pięknym człowiekiem. Uwielbiam grać, bo wpadam wtedy w medytacyjny stan; przychodzi mi to z dużą łatwością, choć wiele zależy od publiczności, a szczególnie od miejsca. Na przykład w kościołach gra się świetnie.

Czy to stan ekstazy?

To przedziwny stan uniesienia i kontroli jednocześnie. Ta kontrola jest nawet jeszcze zwiększona: trzeba pilnować czasu, kontaktu z publicznością, następstw harmonicznym, frazowania, artykulacji. Nie chodzi o to, żeby wpaść w ekstazę, tylko o to, żeby istniała kontrola, ale taka, która byłaby obserwowaniem, a nie kontrolą. Taki stan wewnętrzny skupienia. To skomplikowane...

Flow, czyli przepływ?

Flow? Tak? No to flow. I poczucie mocy. Czasem czuję, że mógłbym zmienić świat.

A czy ktoś po Pańskim koncercie postanowił zmienić swoje życie?

Tak, dostaję takie listy, maile, rozmawiam z ludźmi, którzy mi to mówią i nie mam powodu im nie wierzyć. Ale się tym nie egzaltuję. To kwestia muzyki, a nie tylko mojej muzyki. Niedawno nagrałem solówkę na płycie satanistycznego zespołu „Behemot”. To było dla mnie ciekawe doświadczenie. Już czytając ich teksty, zrozumiałem, że ci ludzie traktują rzeczywistość jako strumienie światła, w których chcą odnaleźć element ciemności i zła. Te ich czarne kostiumy i ciemne makijaże to manifestacja postawy: jesteśmy źli, ale szukamy światła. Czy ich interpretacja jest gorsza od naszej? Jak zmienić świat? Czy muzyka może do tego doprowadzić? Może skuteczniejszym sposobem jest posprzątanie swojego pokoju?

A co z kręgosłupem?

Ból na poziomie odcinka lędźwiowego to lęki finansowe. To chyba z domu mam ten lęk – kiedyś nam się nie przelewało. Gdy patrzę na swój kalendarz, powinienem być spokojny, ale lęk się czasem odzywa.

Kręgosłup to nie tylko układ kości, ale i układ wartości. Jaki jest Pana kręgosłup?

Być może zabrzmiało to dwuznacznie, ale bardzo elastyczny. Świat wartości się ciągle zmienia; mam nadzieję, że się rozwija. A co jest najważniejsze? To zależy od konstelacji różnych czynników, na przykład tego, co się dzieje z najbliższymi. Kiedy się działa krzywdą mojej siostrze, nie miałem żadnych wątpliwości, co jest najważniejsze. Co jest najważniejsze w ogóle? Każdego dnia staram się podnosić poziom mojego życia. Na bardzo różnych planach: świadomości, pod względem emocjonalnym, duchowym, komfortu pracy. To jest dla mnie najważniejsze.

Kręgosłup mężczyzna ma po ojcu.

Tak, bardzo wiele mu zawdzięczam, wiele się od niego nauczyłem. Przede wszystkim tego, żeby brać sprawy w swoje ręce. Ojciec wszystko osiągnął sam. To inżynier, ale skończył muzyczną szkołę podstawową, a nawet klasę średniej. Nie ćwiczy od

dawna, ale był sprawnym skrzypkiem. Prowadził amatorską orkiestrę, prowadził chór. Nauczyłem się od niego wielu dobrych rzeczy, ale też złych. Do tej pory nie podsumowałem naszych stosunków.

Mój ojciec jest bardzo delikatny, ma problemy z tym, żeby mówić „nie”. Ja też taki jestem. Czułem się więc czasem przez ludzi wykorzystywany, tak jak on. Ojciec jest bardzo zdyscyplinowany i starał się doprowadzać wszystko, czego się podjął, do końca. Ja też. To bardzo ciekawa, barwna, błyskotliwa postać. Ma na przykład na swoim koncercie wynalazki. Ale myślę, że najbardziej zależało mu na muzyce. Jeżeli zakłada się i prowadzi przez parę lat orkiestrę, a potem chór kościelny i za własne pieniądze kupuje kontrabasy i mikrofony, to świadczy o ogromnej fascynacji muzyką. Ja mam ją właśnie po ojcu.

Poczucie krzywdy też.

Wiele razy próbowano mnie wykorzystać. Ale ja wtedy powtarzam sobie formułę przebaczenia. Robię to, w każdym razie się staram, dokładnie tak, jak uczy chrześcijaństwo, 77 razy. Więc w gruncie rzeczy krzywda nie istnieje. Po co nam ten ciężar? Po co go na sobie nosić? Trudniej mi przyszła nauka odsuwania od siebie manipulatorów. W Biblii jest napisane: „Odstąp od nieprawości, a nieprawość odstąpi od ciebie”. Zmieniasz myśli, zmieniasz się sam i zmieniają się ludzie wokół ciebie. Prosta reguła. Kiedyś potrafiłem zarywać noce, żeby się nauczyć utworu z orkiestrą tylko dlatego, że ktoś już wydrukował plakat, a mnie nie wypadało odmówić. No i przez dwa tygodnie pokornie ćwiczyłem po nocach, żeby koncert mógł się odbyć. Niszczyłem swoje zdrowie i ...samego siebie.

Czy część tego Pańskiego treningu jest poświęcona także byciu dobrym synem?

Na razie bardziej inwestuję w muzykę niż w bycie synem. Ale gdyby mojej matce czy ojcu zaczęło się dziać coś złego, wszystko bym rzucił. Tak jak było kiedyś z moją siostrą. Istnieje coś takiego, jak więzy krwi.

Był Pan maminsynkiem, który potem się zbuntował...



Zmieniłem imię z Lesław na Leszek. To było jak wypowiedzenie wojny, jak wystąpienie z własnymi insygniami władzy. Żeby się oderwać od rodziców, żeby być sobą



Po raz pierwszy zmanifestowałem swoją wolność w taki sposób, że ogoliłem głowę. Wykombinowałem to sobie tak: Zakopane, trzy dni na Węgrzech, potem Hiszpania... Przez dwa tygodnie nie będzie mnie w domu - mieszkałem wtedy jeszcze z rodzicami. A za dwa tygodnie włosy trochę odrosną. Nie wiedziałem jednego: że koncert w Zakopanem będzie w telewizji. To był straszny wieczór... Mama zadzwoniła. Odbyła się dramatyczna rozmowa: o zranieniu, cierpieniu, skojarzeniach ze światem przestępczym i inne takie. Coś straszego.

Jak mama przyjęła zmianę imienia?

Z Lesław na Leszek. Odbyło się to formalnie, mam nowe imię w papierach. To było jak wypowiedzenie wojny. Co dalej? O! Cała gama wyrafinowanych i bardziej bezpośrednich form nacisku, łącznie z szantażem emocjonalnym. Mama jest mocno nadopiekuńcza. Bardzo kochana, ale po prostu dobrze wie, jak ma być. Rozumiem, że moja decyzja mogła być dla rodziców bolesna i oznaczać, że się z nimi nie utożsamiam. I właśnie to oznaczało. Że utożsamiam

się ze sobą. To było jak ogłoszenie niepodległości, jak uchwalenie konstytucji, jak wystąpienie z moimi własnymi insygniami władzy. Było mi to wtedy bardzo potrzebne: żeby się od nich oderwać, żeby być sobą. Każdy to chyba przerabia: i dziecko, i rodzic. Trzeba to tak urządzić, żeby czerpać z tego siłę. Teraz mam własne imię, własne życie, własną działalność gospodarczą. Przez dwa miesiące prowadziłem nawet sam księgi handlowe. Dopiero później wynająłem księgową, którą mi zresztą mama znalazła. I wie pan co? Nikt nie wie, ile zarabiam, włącznie z rodzicami. Szczyt lojalności.

Czuje Pan wsparcie rodziny?

Tak, ale od niedawna. Zawsze mi się wydawało, że to ja wspieram rodzinę, a nie na odwrót. Czuję na sobie odpowiedzialność, bo przecież to ja wystrzeliłem w świat.

Czy dobrze Pan wykorzystuje swoje talenty?

Mógłbym robić dużo więcej. Ale nie chcę się katować, i tak dużo pracuję. Stopniowo staję się dla siebie coraz bardziej wyrozumiały. Dla innych zresztą też. ➤